

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 74.

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie r. 8, półrocznie r. 4, kwartalnie r. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 11 lutego 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:

Rocznie r. 12, półrocznie r. 6, kwartalnie r. 3.
Koperta oddzielna 2 r. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Gustaw Zieliński (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Z Kowna do Wilna, wyjątek z podróży Władysł. Maleszewskiego, dokończenie (z trzema drzeworytami).—Nigdy (dokończenie).—Kościół farny w Olszynie (z cynkotypem).—Szachy.—Rebus.—Przegląd piśmienniczy.—Poranna medytacja starego tradytora.—Korespondencya od redakcyi.—Doniesienia.

Gustaw Zieliński.

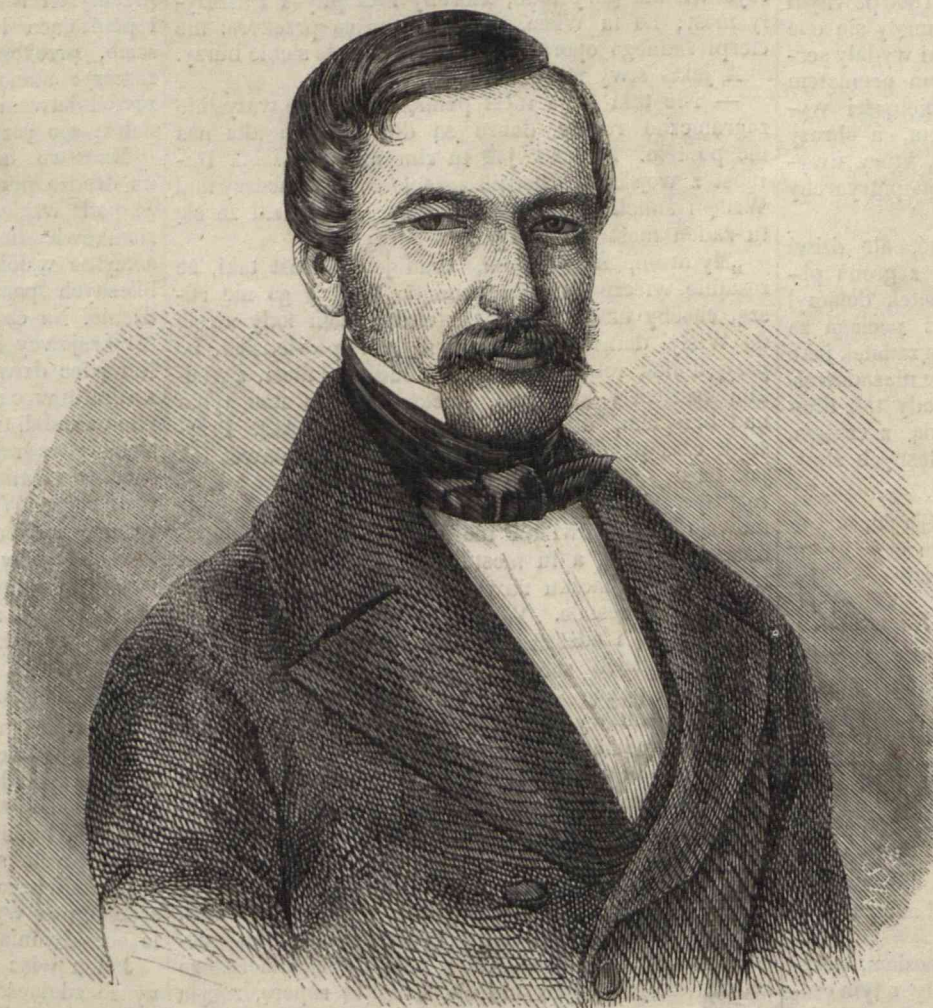
Urodził się Gustaw Zieliński dnia 1 stycznia 1809 roku w Markowicach, wiosce położonej w powiecie inowrocławskim, do departamentu bydgoskiego należącym. Ojciec jego Norbert, oficer artylleryi z czasów Stanisława Augusta, odznaczył się w ruchach wojennych towarzyszącym ostatnim chwilom Rzeczypospolitej, a mianowicie w obronie przejścia Narwi przeciwko przemagającemu korpusowi wojsk pruskich. Początkowe nauki, do roku 1817, pobięrał w Toruniu; następnie, gdy rodzice przenieśli się na mieszkanie do królestwa polskiego, Gustaw dalsze kształcenie odbywał to w liceum warszawskiem, to w szkole ks. pijarów, to nareszcie w szkole wojewódzkiej płockiej. Zkąd w roku 1827 przeniósł się do uniwersytetu warszawskiego, na wydział prawa i administracyi, który w r. 1830 zupełnie ukończył. Osiedlony w kraju na własnym gospodarstwie rolnym, odziedziczonym po stryju, z otwarciem Towarzystwa rolniczego, przyjmuje udział w jego pracach, jako członek komitetu, wyświadcza oraz znakomitą przysługę obywatelską, przyczyniając się, wspólnie z pp. Jackowskim i Kleniewskim, do wprowadzenia w życie idei, która rozwinęła domy zleceń, pośredniczące w ułatwianiu sprzedaży z pierwszej ręki produktów rolnych.

Wychowanie Gustawa przypadło na czasy najświetniejsze dla literatury krajowej, na czasy największego ruchu i najwyższych talentów, czynem reformujących zastałość pojęć ośmnaściego wieku. Mickiewicz, Zaleski, Gościński, idąc odważnie drogą samodzielnych natchnień i nowości kwiatem potrzęsając na niej, pociągali za sobą umysły młodzieży. Pod takim wpływem zbudziły się i rozwijały poetyczne zdolności Gustawa. W szkołach jeszcze będąc, próbował on już sił swoich w drobnym rozmiarze wierszach romantycznego kroju; nie dał się jednak uwięzić ani zwyczajnej w tym razie miłości własnej, ani pochwałą nau-

czycieli, i wszystkie swoje początkowe elukubracje pozostawił w tece, jako plody umysłu niedoświadczonego i niewykształconego nauką, w czem warto aby go naśladowało i dzisiejsze pokolenie niecierpliwych geniuszów. Dopiero po skończeniu uniwersytetu i po powrocie z chwilowej do Prus wycieczki, w r. 1832 rozpoczął poważne studia literackie, zagłębił się mianowicie w literaturę niemiecką; rozmiłowany w Szyl-lerze, tłumaczył z niego rozmaite ustępy, a praca ta rozbudziła w nim na nowo poczucie sił własnych i potrzebę ich użycia. Wziął się więc do napisania in-

miot *Twardowskiego*, pięknym wierszem napisana i w wielu miejscach poetyczna, jednak rozmiąta z tradycją; nie widać w *Twardowskim* miedra książkowego, ale płochego uwodziciela, który za karę dostaje się w moc szatana. *Twardowski* nasz ma wiele pokrewieństwa z *Faustem* (może nawet w nazwisku), niebezpiecznie też jest traktować go na sposób *Getego*, aby nie popaść w metafizyczność, niezgodną z charakterem umysłu polskiego. Lepiej kierować się genialną wskazówką naszego narodowego mistrza, który w tym przedmiocie zostawił znakomitą próbkę w balladzie komi-
cznej barwy. Gustaw Zieliński, rzekłszy się dramatu, pozostał wyłącznie przy lirycznej formie, która lepiej zgadzała się z jego poetyckim usposobieniem. Zbiór *drobnych poezyi*, obok tu i owdzie napotykanym komunalom lub obojętnego kierunku rzeczy, mieści wiele prawdziwego zapалу, myśli niezwytych i wyobraza serce skłonne do szlachetnych wrażeń, umysł wyższy, obdarzony zdolnością komunikowania w sobie wyrobionych pojęć, pomimo że dykcya Zielińskiego nie zaleca się należyta starannością i nie osiąga na rzecz poetyckiego efektu tych korzyści, jakie zapewnia pisać-cemu umiejętne użycie słowa.

Najznakomitszymi wszakże utworami Zielińskiego są: *Stepy* i *Kirgiz*. W *Stepach* poeta jest więc sprawozdawcą wrażeń od natury samej otrzymanych, nie ogranicza się jednak na prostym opisie, ale każdy szczegół przeprowadza przez myśl swą indywidualną, tak iż w opisie tym widzimy i obraz, i malarza razem, po za talentem poetycznym, dostrzegamy charakter. Ta myśl jego jest ogniwem wiążącym mnóstwo drobnych, delikatnych punktów, z których opis złożony jest, i ona to stanowi rzeczywisty interes poematu, który bez tego podmiotowego zasilenia, byłby tylko artykułem topograficznym. Poemat ten nie wypełnia jeszcze obrazu, który autor chciał dać pod nazwaniem *Stepów*; jest to tylko pewna summa pomieszanych wrażeń, schwyconych w rozpędzie konia i przy chwilowym spoczynku. Jeżeli *Stepy* ograniczają się głównie do natury, za to *Kirgiz* przedstawia już więcej człowieka i życie. Przedmiot bogatszy sam z siebie, sympatyczniejszy dla czytelnika, autor wykonał z poczuciem godnym pierwszorzędnego artysty. *Kirgiz*, to najwyższy, nie powiadamy jedyny, tytuł Zielińskiego do literackiego panteonu.



GUSTAW ZIELIŃSKI. (Rysował Lewicki, ryt. w drzeworytni Tygodnika.)

stycznego dramatu, którego bohaterem miał być *Zbigniew*, wykończył tę pracę, ale nie uznał jej godną publicznego widoku, i jedną tylko scenę zamieścił w Bibliotece Warszawskiej znacznie później, bo dopiero w r. 1843. Fantazyja dramatyczna, mająca za przed-

Sama już osnowa Kirgiza ma w sobie istnie tragiczny zaród i mogłaby się rozwinąć na porządny dramat. Pachole kirgizkie, któremu w czasie wojenniczego napadu zabito ojca, sprzedane przez zwycięzcę do miasta, żywi w sobie uczucie zemsty, wywołane miłością rodzinną i religijnym przekonaniem o jego świętości; w uczuciu tym wzrasta ono do wieku meżkiego. A kiedy wróg po latach wielu już może zapominał o nim, Kirgiz tymczasem wyczekuje tylko chwili sposobnej, aby z murów miejskich znów się na step wydostać i dotrzeć do aulu wroga, a wyraża to słowy przypominającymi jeden ustęp z powieści wajdeloty:

Orlik z gniazda, gdy dzieckiem wzięty sidłem łowieckim,
śladzisz zbratał się z tobą człowieczel....
O! poczekaj, niech z wiosną pióra w skrzydłach porosną,
Puść go tylko, on wie gdzie uciecze.“

Wybiegłszy na step, dostaje się w gościnę do aulu jednego z najdostojniejszych naczelników plemion. Przyjęty uprzejmie, podbity wdziękami córki gospodarza Demeli, dowiaduje się że ta, z którą on w duszy połączył się na wieki i która odwzajemnia mu uczucie, jest córką zabójcy jego ojca. Stary Bij, przez pośrednictwo czarów, przekonywa się również, kto jest gościem jego, postanawia nową zbrodnią okupić się od dawniej i przemysłiwą, jakby to zrecznie wykonać. Młody Kirgiz chwile się rozpaczliwie pomiędzy miłością a świętym obowiązkiem pomsty: długo równoważy się w nim dzikość, namiętność i gwałtowność obu uczuć; pomoc przypadku ostatecznie rozstrzyga walkę. Towarzystwo aulowe, złożone z mnóstwa koczujących, urządziła zabawy, gonitwy. W ruchu zabawy Kirgiz i Demela odbiegają daleko od gromady. Wtedy młodzieniec nakłania kochankę, aby z nim uciekła; dogodzi on przez to obu uczuciom: posiedzie tę którą kocha, a stary wścieknie się z rozpacz, że mściciel pozbawił go tego, co mu droższym jest nad życie, utraci córkę, o której rękę ubiegali się najpierwsi naczelnicy rodów. Ale staremu wilkowi stepu zdobyć nie łatwo wydrzeć. Bij, widząc że żaden koń nie doścignie uciekających, posyła za nimi inną pogoń: zapala trawy stepowe, wiatr pędzi płomienie za uciekającymi, w oceanie ognia i dymu Demela kona na rękach kochanka.

Prześlicznej osnowie tego poematu nie wystarcza forma w części liryczna, w części opowiadawcza, w jaką przyoblekł go autor: stracony to poniekąd materiał, z którego, przy stosownym podniesieniu charakterów, powstałyby mogły postacie tragedii pod pewnym względem do greckich zbliżone. Tu przesunęły się one tylko leciuchno po strunach liry, ale dźwięki wydały serdeczne, poetyczne prawdziwie. Nad całym poematem cięży upał stepowy, dzikie i wrzące namiętności wypowiadają się słowem gorącym i pełnym, a obrazy obyczajowe jaśnieją powabnym kolorytem, który uwypatnia głównie gościnność, cnotę zarówno patryarchy jak rozbójnika.

Nie mamy prawa nikogo egzekwować; ale dziwi nas, że od tak dawna już wyłączył się z grona piszących człowiek, który tak piękny kwiatek dołączył do wieńca literatury naszej. Taki *Kirgiz* pociąga za sobą pewne zobowiązania: wystarcza on na zadatek jako obietnica, lecz wywołuje raczej oczekiwanie niż zadowolenia. Autor może ma nieznane nam powody tak długiego milczenia, ale może też one ustają z czasem, jeśli wolno nam wnioskować z jego własnych słów, włożonych w usta stepowego ślepcy:

Gdzie mąż tak prawy, lud tak dzielnej ręki,
Tam jeszcze śpiwaki nie traci nadziei,
Że może kiedyś w dalszych lat kolei
Piękniejsze z gęśli wysnuje piosenki.

Kazimierz Kaszewski.

Kronika tygodniowa.

Już w przeszłym tygodniu lody zaczęły puszczać.

Codzień nowe sztafety przychodziły do Warszawy, donosząc o nadzwyczajnym przyborze wody; straszył nas Zawichost, przerażały wiadomości od zbiegu Wierprza z Wisłą.

Woda urosła do dwunastu stóp nad poziom, przybór ogromny, bo największy wzrost wody o tym czasie, jak się przekonać można z notatek przez służbę mostową utrzymywanych, szesnastu stóp dochodził, i to zaledwie raz tylko w przeciągu przeszło sześćdziesięciu lat miało miejsce. Zdarzyło się wprawdzie, że w lecie woda wzrosła do dwudziestu jeden stóp, ale była to Jakubówka, owa zawsze straszna Jakubówka, która z topnienia śniegów w Karpatach powstaje. Jeżeli tam, co się czasem podczas wielkich

upałów zdarza, śniegi z niezwykłą topnieją szybkością, woda na Wiśle rośnie, szumi, wylewa i niekiedy na parę mil w około szerzy zniszczenie.

Tymczasem dwanaście stóp wzrostu, przy trzymających jeszcze lodach, było już niezwykłym niebezpieczeństwem, bo skorupa lodów nadymała się ciągle w górę i pękała w wielu miejscach, a to gwałtowne oddziaływanie wody dawało się zwłaszcza widzieć pomiędzy Solcem a Saską Kępą, podczas kiedy poza mostami lody trzymały jeszcze, i można się było obawiać zatoru, co jak wiadomo, jest jedną z najstraszniejszych przypadłości przy pękaniu lodów.

Stary most po dawnemu ulakł się niebezpieczeństwa, zaniechał z rozruchanym żywiołem walki, która tyle razy okazała się dlań śmiertelną, pokłonił się matce Wiśle, podzielił się na cząstki i popłynął z wolna a ostrożnie na swoich łyżwach, schronić się w bezpiecznych miejscach przy brzegu. Tylko izbice po nim pozostały osamotnione, wychylając ponad spękane lody sędziwe czoła swoje, licznymi pokryte szramami, które świadczyły o walkach zaszczytnie nieraz z krą wisłąną staczanych.

Ale nowy most, tak zwany tymczasowy, stał jak mur. Pomimo niezwykłego przyboru wody, wysoko górował on nad nią amerykańskimi swojemi wiązaniami, i zdawał się uragać temu popłochowi, który naokoło brzegi ogarnął. Tylko izbice jego długie, wąskie, spiczaste, sterczały jakby przednie reduty, broń obwarowanej twierdzy; tylko po za nim, dla zapewnienia łatwiejszego przejścia krze, rozrąbano lody, które w wielu miejscach dochodziły grubości dwudziestu czterech cali, gdzie indziej zaś, tam zwłaszcza gdzie chwilowe przeszkody powodowały kilkakrotne zamarzanie wody, aż do samego dna sięgały. Mnóstwo osób tak z Nowego zjazdu jak i z samego mostu przypatrywało się temu wspaniałemu widokowi, wyczekując stanowczej chwili pęknięcia lodów i rozpoczęcia ostatecznej próby.

Mnóstwo zawiązywało się zakładów za i przeciw utrzymaniu się mostu. Byli tacy co wierzyli że żadne dzieło ludzkie nie jest zdolne oprzeć się krze, która bez współzawodnictwa królujecie sobie na Wiśle, zmiatając najcięższe przeszkody, najsilniej zbudowane izbice, niby cacka dziecinne.

— Co to most drewniany, mówiono, tu i mur i żelazo nie wytrzyma. Chybaby zbudować należało taki wielki most wiszący, któryby żadnego oporu krom nie stawiał, a i wówczas nawet gotowe one utworzyć wielkie góry lodu, któreby zaczęły i zniszczyły most; bo ta Wisła, to jakby żyjąca przekora: nie cierpi żadnego oporu i wszystko w około siebie burzy. A jakiś siwy staruszek dorzucił:

— Nie taki to ja most pamiętam; ale te wszystkie zagraniczne roboty dobre są dla nich, a dla nas nic po tym. Przecież jak tu zimował marszałek Davoust z wojskiem, chodzili inżynierowie francuzcy nad Wisłę i śmiali się z naszych, którzy dowodzili że się tu żaden most nie utrzyma.

„My wam, mówili oni, zbudujemy most taki, że zostanie wieczną po nas pamiątką, a kry go nie ruszą, choćby nawet wszystkie wasze rzeki lody swoje do Wisły doniosły.“ I stało się jak powiedzieli, bo przyjęli huk robotnika i zaczęli budować most, z wielkim kosztem i staraniem. A starzy ludzie stali tylko nad brzegiem, uśmiechali się i kiwali głową. Przyszedł czas puszczenia lodów, a nie było nawet tak jak teraz, gdzie tam, tylko zwyczajne kry, jak co rok bywają. Inżynierowie poszli spać najspokojniej, mówiąc że mostowi nic nie będzie; a z rana gdy się obudzili, patrz! a tu mostu ani śladu, woda wszystko zniosła i znaczną nawet po tych kosztownych robotach nie zostało. Więc tedy pomamrotali coś pomiędzy sobą i odeszli od brzegu kiwając głowami. Widno powiedzieli sobie, że Wisła to nie Sekwana, i dali odtąd pokój.

Takie rozmowy toczyły się na moście i ponad brzegiem, na dodanie większego zaufania tym, którzy zakładali się że nowy most gwałtownego uderzenia kry nie wytrzyma.

Nadeszła wreszcie chwila stanowcza, skorupa lodu wzniosła się, wygórowała, niby wulkan lawą wzbierający, i nareszcie pękła z wielkim hukiem, a zawały kry ze straszonym pędem posunęły się w dół rzeki.

I połowa tych gór lodowych skierowała się ku brzegowi pragskiemu, poniosła z sobą część tamecznego bulwarku, jak gdyby nie znaczącą zapórę, zaryła się w grunt, poderwała ziemię i zagroziła budynkom okolicznym.

Ten co nie widział na własne oczy skutków zniszczenia przez krę zrzadzonego, nie uwierzy opisowi.

W fabryce pana Rolbieckiego na przykład lody poderwały oparkanie, podniosły drewnianą oficynę na wysokość piętra prawie, połamały kilka budujących się machin, a powóz stojący tam zgięły we dwo-

je, druzgocąc spód żelazny i miazdząc jedną połowę o drugą, jakby kawałek opłatka łamany w dwóch palcach. Lody tam znajdując opór, nagromadziły się do ogromnej wysokości, tworząc w tym miejscu prawdziwą cieśninę Berynga. Dopelniał nawet podobieństwa jakiś biedny Franklin, którego zaledwie z pod tych rumowisk można było uratować.

Druga połowa kry poszła na most.

Ale tu dopióro okazała się w całej potęgę swojej cudowna siła oporu, jaką sztuka ludzka stawiać zdoła naturze. Most pozostał niewzruszony. Lody rozbijały się o głowy izbic, nie ruszywszy ani jednej z nich z miejsca, ścierały się o pale, zostawiając na nich ślady swojego przejścia, i nie mogąc zburzyć tej zapory, przesuwały się dalej, żeby znów zniszczenie szerzyć po brzegach.

I nareszcie zabrakło kry, przeszło wszystko, a lekkie zaledwie skazy na izbicach i palach świadczyły o przetrzymaniu niebezpieczeństwie. Nazajutrz, pomimo niepogody, mnóstwo osób przychodziło oglądać most pozostały zwycięsko na placu bitwy; jaką zaś była siła oporu, mogą zaświadczyć ci, którzy widzieli ogromne kłocę podtrzymujące bulwark drewniany, strzaskane i ścięte na dwoje, jak trawa, po której kosa przejdzie. Dziś wszystko wróciło do dawnego porządku; Wisła może jeszcze wprawdzie drugi raz zamarznąć, ale jesteśmy przynajmniej zapewnieni, że komunikacja z Pragą nie będzie już przerwana. Dla Warszawy wielkie to dobrodziejstwo, bo każde takie przerwanie prowadzi zwykle za sobą nieznośną drożyznę.

Tydzień ten ożywił Warszawę niezwykłym ruchem. Mrowią się ulice, hotele przepelnione, Towarzystwo rolnicze rozpoczęło swoje posiedzenia. Wiele już zrobiono, niemało jeszcze do zrobienia pozostaje, a każde walne zgromadzenie Towarzystwa budzi ogólne zajęcie. Więc i obywatele, przejęci ważnością swego powołania, z głębokim rozmysłem przystępują do obrad, które odbywają się w przykrym porządku. Sprawozdanie z tych obrad czytelnicy w swoim czasie znajdą zamieszczone w piśmie naszym; nam tylko zanotować tu wypada ten główny fakt życia warszawskiego, który na dziś wszystkie inne pozostawia na boku.

Winniśmy zanotować tutaj chwalebny zwrot, który od pewnego czasu daje się widzieć w usposobieniu młodzieży naszej. Znika powoli ten zastarzały przesąd, co przez tak długi czas u nas kazał uważać przemysł i rzemiosło, jako zajęcia krzywdzące niejako i poniżające ludzi z wyższym wykształceniem. Owszem, przekonywamy się że ludzie tacy, przynosząc zaszczyt stanowi jaki obierają, przykładem i współzawodnictwem dopomagają zarazem do nadania mu należytego rozwoju.

Mnóstwo młodzieży naszej kształci się za granicą na drodze przemysłowej, i niejednokrotnie się zdarza że pod względem zdolności i pracy młodzi współpracownicy nasi przodują innym narodowościom. Zaszczytne wzmiarki, często o nich w doniesieniach publicznych pomieszczone, usprawiedliwiają to twierdzenie. Na czele kilku fabryk tutejszych znajdują się już krajowcy i liczba ich z każdym rokiem się zwiększa. Nie więc dziwnego że podobny stan rzeczy obudza zazdrość w cudzoziemcach, którzy po dziś dzień prawie posiadali tu monopol wszystkich korzystnych przedsiębiorstw, zakładów przemysłowych, a nawet warsztatów rzemieślniczych, na najświetniejszą rozwiniętych stopę. Widzą oni że wymyka im się z pod rąk znaczny a niechybny dotąd zarobek i łączą swoje usiłowania, żeby stawić zapórę wdzieraniu się *nowych przybyszów*, (to jest tutejszych mieszkańców), w to co oni nazywają zwykły *swoimi prawami*. Rzeczywiście istniały one dotąd te prawa obyczajowe, smutny dla nas przywilej, który gnuśność i nieogledność nasza nadała z własną szkodą obcym przychodniom.

Tę walkę toczącą się ciągle zażarcie, chociaż w ciższy i tajemnicy wielkiej, mieliśmy w tych czasach kilka przykładów. Parę z nich przytoczymy.

Wiadomo że miasto nasze posiada wielu bardzo zdolnych budowniczych, stosunkowo nawet do przedsiębiorających się robót liczba ich dość znaczna; nie więc dziwnego że niektórym z tych, co nie mieli jeszcze czasu wyrobić sobie stanowiska i wzięcia, chwilę oczekiwanie zbyt długie się wydają.

Jeden więc wykwalifikowany już budowniczy, znany ze zdolności i wysokiego ukształcenia, nie chcąc być przeszkodą dla drugich, a pragnąc zapewnić sobie należyte środki utrzymywania, postanowił zostać majstrem mularskim. Rzemiosło to u nas dość jest korzystne, a człowiek z wyższym ukształceniem przystępujący do niego, najpożądalszym zdawał się nabytkiem.

Koledzy, których Pan N** zasięgał rady, przyklasnęli szczerze jego pomysłowi i umyśliłi wszelkimi siłami dopomagać mu w przyprowadzeniu go do sku-

tku. Ale tutaj właśnie nieprzewidziane przeszkody czekały na przyszłego majstra.

Wiadomo że przedsiębiorstwo robót mularskich, tak jak i wielu innych, znajduje się u nas w ręku cudzoziemców. Otóż ci właśnie, ciągnąc dotychczas wyłącznie prawie korzyści z zyskowych robót, zagrożeni niebezpieczeństwem współzawodnictwem, utworzyli pomiędzy sobą ligę przeciw zamiarowi pana N**. Po długi nie mógł on być wykwalifikowany na majstra, ponieważ nie przebył wymaganej liczby lat na czeladnictwie, a czeladnikiem nie mógł również zostać, nie terminując nigdy. Więc jeżeli chce być wliczonym w poczet majstrów, powinien służyć swoje zwykłym torem od terminowania rozpocząć.

Napróżno tłumaczono im, że powyższe zasady mogą tylko obowiązywać ludzi przystępujących bez żadnego wykształcenia do rzemiosła, że umieć czytać i pisać, a być wykwalifikowanym już budowniczym, różnica jest wielka, że zdolny malarz portretowy nie potrzebowałby wcale terminować zwykłym sposobem u malarza szyldów i t. p. Wszystkie te dowody łamały się o upór tych ludzi, którzy twierdzili że im obcy, to jest nasz rodak, przychodzi wydierać chleb z ręki, i zaledwie po bardzo żywych sporach potrafiono przeprowadzić tę groźną innowację. Dzisiaj pan N** jest już majstrem mularskim, a budowa domów u nas niewątpliwie zyska na tym, bo człowiek wykształcony biorący się do rzemiosła, przynosi zarazem z sobą wszelkie ulepszenia i udoskonalenia, jakie mu nauka jego zapewnia. Znamy także innego budowniczego, który z podobnych pobudek wziął się do stawiania pieców. I wybornie mu z tym, bo dawniejsi koledzy nie mało ciągle dają mu zajęcia.

Bywały przykłady, że młodzieniec z patentem ukończonego gimnazjum realnego, pragnący iść się rzemiosła, bywał zapisywany na długie lata do terminu; toż samo miało miejsce niedawno z młodym człowiekiem, który odbywszy u nas nauki, skończył jeszcze szkołę politechniczną w Wiedniu. Są to systematyczne utrudnienia, których powód zawsze z jednego i tego samego źródła płynie.

Zmarły przed kilku dniami Wojciech Szymanowski, artysta emeryt, należał do rzędu tych pracowników, którzy, obyczajem bajki, żółtym swoim krokiem nie raz dalej zajdą, aniżeli wielu zajęcy, przysiadających co chwila. Zdziwiająca jest liczba przekładów, które zmarły potrafił skutecznie przy innych swoich zatrudnieniach; wybór wprawdzie niezawsze był szczęśliwy, ale większa część tych dzieł nie znajduje się już w handlu księgarskim, co zawsze dowodzi że dogodzą one chwilowej potrzebie. Jako artysta dramatyczny ś. p. Wojciech należał do tak zwanych użyteczności (utilités), które to role, nie błyszcząc nigdy pierwszym światłem, są jednak konieczne i przy niedokładnym obsadzeniu ich dobra sztuka często ucierpieć musi. Przykłady tego można widzieć nie raz tam, gdzie artyści, doszedłszy do pewnego już stopnia w sztuce, unikają pomniejszych ról, jako uwłaczających ich godności. Nie takie panowało przekonanie pomiędzy artystami naszymi za dawniejszych czasów, bo każdy z nich wiedział dobrze, iż przedewszystkiem obowiązkiem jego jest poświęcić się dla ogółu i dla korzyści sceny odłożyć na bok wszelkie miłości własnej poszepty. Ś. p. Wojciech miał jednak kilka ról, w których rzeczywiście zyskał powodzenie; do nich wliczyć należy rolę *szewca* w komedynie *Antoni i Antosia* i *sędziego* w *Sztuce przypodobania się*. Wiadomo nam z kądinąd, że ś. p. Wojciech posiadał niegdyś bardzo liczną bibliotekę, pochodzącą tak ze spadku po ojcu, jak i z własnych jego starań. Nie wiemy co się stało z owym księgozbiorem, a szkoda było żeby się rozprzerzł na cząstkową sprzedaż.

Odkryto już w tych dniach posąg T. Czackiego w kościele panien Wizytek. Znakomitą to wartości dzieło i nie można go liczyć na stopę zwykłych podarunków; tém większa zasługa artysty, że talent i pracę swoją na tak piękny cel poświęca.

Wyszedł z druku zeszyt drugi Zabaw umysłowych panny Szmigielskiej. Zawiera on pomiędzy innemi słiczny wiersz Deotymy, pod tytułem *Piosenka w Karpatach*.

Dziwny wypadek miał miejsce niedawno w Warszawie.

Przed furką kościoła oo. karmelitów na Krakowskim-Przedmieściu, stawał zwykle po zebraniu dzień wysokiego wzrostu, siwy i suchy jak szczap, z torbą na piersiach, w którą składał uzbierane datki. Wszyscy uczęszczający zwykle do tego kościoła znali go dobrze, mało bowiem zadawał się z innymi, zachowując zwykle czapkę na głowie i nie kłaniając się tak jak drudzy uniżenie przy odbieraniu jałmużny.

Traktował on z góry towarzyszy swoich.

— Powinniście znać dla mnie uszanowanie, mawiał często do nich, bo wy chłopci, a ja szlachcic.

Ludzie też znają się na tém i obfitym dają mi jałmużnę.

— Oj to, to prawda, odzywał się niejeden z nich, bo też całe wasze państwo leży w tej oto torbie, którą potraficie tak sprytnie napełniać groszakiemi.

— A żebyście wiedzieli, właśnie że ta torba, to moje bogactwo, tylko nie tak jak wam głupim się zdaje. Oj są bo tutaj papiery, mówił uderzając po worku skórzanym, i bardzo ważne papiery, i gdyby tylko człowiek chciał... Ale co tam po tém, przecież z głodu nie umrę, a nie jest mi znowu tak źle na świecie.

I rzeczywiście mu źle nie było, bo co wieczór prawie cały dzienny zarobek przepijał w szynku, jak to zwykł czynić niejeden z jego towarzyszy. A przy wódce nieraz rozwiązywał mu się język i gadał po dawnemu o tych ważnych papierach sukcesyjnych, za pomocą których, gdyby chciał, mógłby los swój znakomicie polepszyć.

Jak to zwykle u nas, faktorzy wszędzie się wkręca. Zwiertzyli oni jakoś że słowa rzucane przez dziad miały pewną zasadę i zaczęli koło niego chodzić. Przylączył się do nich pewien pokątny doradca, którego plemię, pomimo ostrych rozporządzeń i poszukiwań władzy, nie wyginęło dotąd u nas, i krzewi się w ukryciu jak jadowite grzyby, biorąc biedne zwłaszcza klasy ludności za ofiarę przebiegów swoich.

Za pomocą zdwojonych porcji wódki, wymożono na dziadzie pokazanie papierów; pokątny doradca przejrzał je i znalazł, że tu idzie o znaczny bardzo spadek, który z łatwością, na mocy tych dowodów, mógłby być uzyskany.

Wzięto się tedy do rzeczy, i spojony naleźycie dziad ofiarą kilku rubli dał się skłonić do odstąpienia papierów. Pokątny doradca, wraz z faktorami, rozpoczęli prowadzenie sprawy, i udało im się otrzymać wyrok przyznający im własność sukcesyjną, jako prawonabywcom od rzeczywistego spadkobiercy.

Ale dziad, wytrzeźwiony się, począł żałować wypuszczenia z rąk tak dobrego interesu. Dowiadywał się więc ze swojej strony pokątnie o biegu sprawy, i otrzymawszy wiadomość o uzyskaniu wyroku, zachorował z rozpacz, że z taką łatwowiernością dozwolił wydrzeć sobie z rąk krociowy majątek. Poradzono mu udać się wyżej, co też uczynił. Sprawa ciągnęła się długo, aż koniec końców dziad uzyskał wyrok kassujący umowę którą zawarł z faktorami i pokątnym doradcą, jako opartą na nadużyciu jego dobrej wiary, i przyznający mu jedynie i wyłącznie prawo do spadku.

Otrzymałszy wiadomość o tym wyroku, dziad dostał uderzenia krwi i padł na miejscu.

Przed kilku dniami odprowadzono na cmentarz zwłoki tego niedoszłego bogacza.

Z KOWNA DO WILNA.

Wyjątek z podróży

Władysława Maleszewskiego.

(Dokończenie.)

Szalona trójka z hałaśliwym dzwonkiem niosła mnie po kowieńskim trakcie. Od ostatniego wzgórza, z którego żegna się przecudną panoramą Kowna, nie przed sobą nie miałem, oprócz ciemnych lasów, równin i wód Niemna, co wszystko tworzyło zwyczajne obrazy. Żywy węzeł miłości spleta Wilno z Kownem: szlaki gościniec, wysadzony rzędami długolosych brzoź, tak przytulił oba miasta do siebie, że położył jakie słowo na liściu pierwszej brzozy od strony Kowna, w jednej chwili i Wilno toż słowo odczyta, bo cały gościniec, wszystkie drzewa, serdecznie je poszeptały.

Z bryczki śledząc bieg Niemna, widzisz kamiennych olbrzymów, bo jedziesz brzegiem rzeki, zarzuconej w tém miejscu diabelskimi mostami, a w koronie jej sterczą kamienne góry, z których potężny olbrzym rumszyski, opiewany słowem litewskiego wieszczki, bieje pianą i straszy żeglarzy. Woda, zmęczona walką, pobiegła w górę przyzwać pomocy; na straży zostały tylko prądy, w posród których sinieje poszarpane łono rzeki. Lecz i tu znajdujesz głębie, a z nich woda ciągle bluzgocze, wszędzie fałdy sine, gniewne, każdy smug wody zorany, spieniony, wdziewie walkę z upornie milczącym kamieniem, wszędzie rwie woda, a roztrącając się przy każdej tamie, po całym Niemnie tworzy tysiące drobnych, silnych, a na różne tony grających wodospadów. Pod każdą nie-meńską opoką siedzi rozbicie dla wędrującego statku, śmierć i topiel dla śmiałych żeglarzy. Oczyszczyć tę część Niemna i oddać ją na usługi bezpiecznej żeglugi, jest dziełem wielkiem, ale na pojedyncze siły prawie niepodobnem. Żył jednak mąż, pódskarbi Tyzenhauz, co spojrzawszy na tutejsze rafy powiedział: „zni-

szczę ich potęgę,“ i zaraz wziął się do dzieła. Lecz jak wszystko u nas obojętnością ogółu, tak i to pomnikowe przedsięwzięcie zostało zagłuszone, a rumszyskie olbrzymy ciągle szyczą z naszej bezsilności.

Jadąc dalej brzegiem Niemna, rachując bryły kamienne wypłukane w dziwne pogańskie bożyszcza, spotykasz na prawej stronie piętrzące się tarasy, wyobraźni Calame'a krajobraz, którego głośnym wyrazem jest—grobowe milczenie. A nad tą masą czarną żyje jedyny krzyż pożajskiej świątyni, co wspinał odbity na jasnym tle nieba, wszechwładnie rządzi wrażeniem podróżnika.

Gdy myśl twoja spoważnieje, notując rysy pożajskiego krajobrazu, gdy nie zajmie wyłącznie twę uwagi szmer brzoź, które ciągle telegrafują wieści z Kowna do Wilna i nawzajem, wtenczas najpewniej zaczniesz okiem błądzić po piaszczystych pochyłościach nadniemeńskich, po dzikich puszkach, zarosłych kolącym zieleń, karłowatymi krzaki jałowców. Wśród tych ogrodów wznoszą się nieznane nam grobowce, żółcieją n ogily, pod którymi leżą synowie ludu, ciała tratwiarzy, ubogich Pińczuków. Ten lud, rodzący się do niewolniczej pracy, ponad Niemnem sypie sobie mogiły, zakłada stacye grobowe, cmentarze bez płotu, bez krzyża wspaniałego, bez żadnego pomnika: widzisz tylko gromadki krzyżyków jednej formy, jednej miary, jednakię prostoty. Nizkie te krzyże, przewiązane sitowiem, lub przebite żelaznym gwoździem, pomalowane łzami, a oglądzone niedoli ręką, często gdy Niemen wyleje, zostają poniszczone; ale na rok przyszyły przechodzący tedy tratwiarze, krewni lub znajomi zmarłych rodaków, na nowo krzyżyki podnoszą, na nowo sypią po swojemu grób Pińczuka. Ktoby chciał kiedyś rozkopywać te mogiły, w każdej z nich znajdzie tylko skórzaną kaletkę, zczerniałą metalowy krzyżyk i jaki szmat ubogiej sukmanki Pińczuka. Niejeden z nich, zaprzężony jak koń w szejle, ciągnie statek w górę, a gdy zerwie się i zachoruje, złoży go na mokrą tratwę, bo to jedyny szpital Pińczuka; dadzą mu rzecznej wody, a w ostatku gorzałki, bo to jedyny dla niego lekarstwo; podsuną pod głowę rogózkę, bo to zbyt kowna jego pościel; wysmarują piersi spirytusem; bo to ostatni ratunek, a gdy te wszystkie pieczołowitości nie nie pomogą, chory musi umierać: bracia milcząc wynoszą ciało na brzeg, kopią dół, przeznajają ręką, batko albo jakiego bratnie zasypie czy piaskiem, postawi krzyżyk, przyklepie mogiłę dłonią, a po tym żałobnym obchodzie, wszyscy wracają na dawne swoje stały i spokojnie zaprzęgają się w szejle...

Rachując te mogiły, do których poprzyrastały cmentarze wieśniacze, dojechałem do nędznej żydowskiej miejsciny. Gdym miał piaszkową górę, z której niedawno został krzyż stracony, cały wielki poemat Wallenrod stanął mi żywo na myśli: dziwnie on mi się odbił w piasku roztrąconej góry.

Miasto Rumszyski, świadek czynny wszystkich krwawych zapasów krzyżackich z poganami, dziś, dla podróżnika nie szperającego w historycznej przeszłości, może przedstawić, jak i wszystkie nasze miasteczka, wielkie, bezbarwne... nie. Jednak jako charakterystykę jego zanotować należy, że w nędznej żydowskiej miejscinie, w której naliczyć można, zaledwie kilkadziesiąt gospodarskich domów, jest kilkadziesiąt szynków, a domy zajezdne, jak natrętniki, nie schodzą tu z oczów.

Kościół tutejszy parafialny, zbudowany z drzewa, niebogaty, ale starannie i czysto utrzymany. Plebania stoi na znacznej wyniosłości, i widać zjad lud litewski, spieszący po gościńcu pieszo, konno, jak kto może, na odpust w mieście. Jaka to mnogość pobożnych, jaka religijna zaduma w całej ich postawie, jakie proste a bogate ludowe stroje! Jakby jednym białym szalem pokryta cała ziemia, bo wszystkie kobiety, odziane płótnem, tworzą zastępy, w których nie długo rozjaśnia się ściany drewnianej świątyni. Wszyszek spieszący na modlitwę lud bieje, jak biel się będzie strona prawa w dniu sądu, a czyste opony są nieomylnym znakiem, że przez usta ludu wchodzi Bóg do całego narodu.

Na cmentarzu siedzi żebractwo, a pobożny lud roznosi flaszki z gorzałką, rozdziela ją pomiędzy nędzę, poi i zmusza do znieważenia miejsca świętego, czyni zaś to wszystko, pewny że czyni najlepiej, bo idzie za przykładem swych ojców i dziadów. A do kogoż jeśli nie do nas należy nauczyć lud, jakie ofiary są Bogu i ludziom najmiłsze? Któż jak nie my powinniśmy z dniem każdym niszczyć pamiątki takie pogaństwa, które im dłużej szczepią się w duszach, tém stają się szpetniejsze i w potwornych kształtach nie raz odbiegają samego pierwowzoru?

Tu widziałem tylko częstunek dziadów żebraczych lecz tam, na tamtej stronie Niemna, iluż to spotka-

tem odpustowych pielgrzymów pijanych, oddanych w całych massach, zaraz po nabożeństwie, ponizającą zabawie!...

Nie czekajmy na losy, co mają nam przynieść ziar-na filantropii, budujmy sobie sami postęp, twórzmy ekonomia, ale wszystkiemu dajmy za podstawę serce. Bo postęp naniesiony losem, to babie lato, snujące się po powietrzu w białych wstęgach. Wstęgi bielutkie, czyste, świetne zdaleka, ale pochwyć je w palce, zamknij w ciepłej dłoni i ścisnij!... nie domacasz się żadnej wilgoci, żadnej jedwabistości, sama szorstkość i trupia nieczułość w nich się gnieździ.

Serdecznie pożegnawszy szanownego rumszyskiego proboszcza, powierzyłem się na nowo trzęsącej tele-dze i ruszyłem w dalszą podróż.

Jęczący dzwonek upornie przywoływał widziadła cmentarne, a nigdzie ich ani śladu, wszędzie jesień z całym swym prawem wolności. A wolność jesienią, to zupełne zniesienie granic pomiędzy posiadłościami: wszędzie wywrócone ogrodzenia, pootwierane wrota, wszystkie pola jakby oddane na wspólny użytek. To też na tém tle równości tak słicznie, bogato! Okolica powabna, drogi wysłane barwnym liściem, krzaki osnute pajęczą tkanką, na której duże krople rosy błyszczą jak najczystsze brylanty. Powabny ten obraz zakłócają chyba: linia prosto wytknięta pod kolej żelazną, która fantazyując chorągiewkami, zdaje się z francuzka szydzić ze starego, litewskiego gościnnica, i wichry jesienne, które pędzone liście przepływają tłumnie, ścierają się z sobą, szaleją w powietrzu.

Wieśniacy mijali mnie, a wszyscy tak pokorne oddawali pokłony, wszyscy tak wyuczenie czapkowali, że przykro było patrzeć, zwłaszcza iż przy powitaniach usta były jak zamurwane; mało od którego usłyszałem słowa z pozdrowieniem Chrystusa. A gdyś spojrział ostro i gniewnie, chłop stawał jak wyrzuty, i, choć nie czuł w sobie żadnej winy.

W karczmach, w chałupach, gdy się wdał z którym w gawędę, gdy ciepłym słowem rozgrzałem uczucia prostego słuchacza, chłop tak mi się rzucał do ręki, tak serdecznie dziękował, tak dziwnie mnie ścisnął za nogi, a czołem bił w ujętą rękę, że musiałem się zastanawiać, za jakie to wielkie dobrodziejstwa odbieram takie dowody wdzięczności?

— Wot panie wielki gorod, zawołał powozący i niedługo znaleźliśmy się w żydowskiej osadzie, zwaną miasteczkiem Żymory.

Jestem już niedaleko Wilna, blisko celu mej jesienniej wycieczki. Spotykam wieśniaków, pytam każdego po litewsku, odbieram odpowiedź w tymże samym języku; pytam po polsku, polskiem też mi słowem odpowiadają. Co do mowy ludu, okolica tutejsza ogromnie się różni od augustowskiej, i od tych które się stykają ze Żmudzią. Ubiór chłopski, szczególnie kobiet, także pięknie się wyróżnia od stroju innych okolic, a choć tam, jak i u nas, co granica, to strój inny, kobietom jednak tutejszym, przypominającym ubiorem okolice mazurskie, dałbym pierwszeństwo. W ogólności, gdyby mnie pytano o stronę w której zwyczajnie starodawne, obok zamożności, najwierniej się przechowują, wskazałbym bez namysłu na augustowską, w której spotkać się można ze wszystkimi śladami zamroczonej przeszłości.

Wieśniak augustowski ubiera się tak jak ojcowie jego: bielizna, siermięga, utkane i uszyte w domu; nie umie ani słowa po polsku, albo z musu tylko tym językiem przemawia. Zamożność ich jednak jest wielka, ufność tym, którzy potrafią na nich wpłynąć, nieograniczona, gotowiby im oddać wszystkie dostatki. Zdradzeni

zaś, albo zupełnie upadają na duchu i wszystko tylko dla pozoru spełniają, albo kupiąc wszystkie swe siły, szukają w tém całej pociechy, aby mieć jaknajwięcej, a wtedy już wszystkich, którzy w czémkolwiek ich zamożności przynoszą uszczerbek, uważają za największych nieprzyjaciół. Bez wątpienia lud ten wymaga i godny jest najstaranniejszych studyów, tém więcej, że się ogromnie różni od ludu innych okolic.

Te kilka słów podróży spostrzeżeń możemy poczęści zastosować do naszego ludu w ogólności, jednak studya najciekawsze i najłatwiejsze zarazem w poglądzie na przyszłość, dokonywać się mogą na Litwinach augustowskich: mają oni bowiem, oprócz bogatego serca, bogactwo materyalne, usunięta więc jest największa przeszkoda, o którą rozbijają się wszystkie pragnienia dzisiejszych filantropów. Tu najlepiej zobaczyć możemy co się dzieje wtenczas, gdy materyalne bogactwo szybko wyprzedza oświatę, co się dzieć bę-

stoją i kłaniają się trzej królowie. Głowa ich jakby z kamienia nożem wyciosane, suknie jasne, niby pełnym kwieciami upstrzone, na głowach korony, a w rękach berła, białe i proste jak lilie — a nad Chrystusem i królami wiszą czarne obłoki, dzwigając złote słońce. I patrzcie, przed tą figurą, straszącą naszą sztukę, lud kłeka, zęga się i modli, bije czołem i płacze przed postacią wiary, odzianą tajemnicą ludowego arcyzmu.

Na brzydkie obrazy i rzeźby nowe straszno spoglądać, bo lękamy się znaleźć w sobie usposobienie do podobnych potworności wtenczas, gdy się mamy za mistrzów; przed tą figurą na najdelikatniejszym uczuciu piękna nic a nic nie ciąży. Tu patrzmy wolni od wszelkich praw sztuki, wolni od wszelkiej zarozumiałości, bo wiemy że do tworzenia dzieł takich trzeba być z ludu, trzeba od kolebki aż do grobu wierzyć w cały świat zaczarowany, legendowy, trzeba mieć

serce czyste, niepokalone niczym i pełne świętej mocy, aby z tych krzyżów i figur dojrzeć wspaniały majestat Boga. Każdy też Litwin w życiu swoim musi postawić choć jeden krzyż, choć jedną figurę, inaczej spokojnieby nie umarł.

A obok wiary, jakaż tu ogromna miłość. Czyż myślicie że te sukienki, te szmatki białe, co wiewają na ciele Chrystusa, na ramionach Najświętszej Panny, są tylko ze zwyczaju pozawieszane zimną ręką litewskiego dziecka? O nie — ja wy-czytać zdolałem w sercu Litwina, że dlatego sukienki bieleją na świętych postaciach, bo on się boi, bo on się lęka aby dzieciątko Jezus nie zmarzło, nie zaziębiło się od jesiennych wichrów i zimowych zawiei... On myśli że Chrystus Pan, to Bóg co nim rządzi, to człowiek co cierpi i płacze, tak jak my wszyscy — on wierzy że Bóg ciągle mówi do niego: oddaj mi swoje dostatki, swoje bogactwa i wszystko z ciałem swoim, bo duch twój jest duchem moim. Przed jesienią też na wszystkich figurach bieleją nowe, ofiarne sukienki... Przed jesienią cała Litwa odziewa, tak jak na wiosnę stroi, Chrystusa i świętych sług Jego.

Jakże pięknie w tym ludowym świecie — jaka siła ciągnie nas ku niemu!

Zbliżałem się do litewskiego grodu z podwyższonym uczuciem, z żywą miłością, rozbudzoną wśród tego ludu. Zdaleka zobaczyłem szalony zakręt, kręślony ręką olbrzyma i uwieńczony w wieńcach gór ponarskich, pacowskich, Boufała... Jak w labirynt wjechałem w łańcuchy góryste, a nagle po przesłicznym spadku stanąłem w dolinie. Ta dolina, to pałac z widokiem na góry, przed którym szeroko zielenią się pola, lecz zielenią się męzko, twardo, stalowo: bo na nich buja tylko co wzeszła trawka, zbożowa, którą zetną mroźna, przysypią śniegi, a ona to wszystko zniesie i na wiosnę w kłos wystrzeli!

A za tém polem, co dziwną siłą ciągnie do siebie, mignęła Wilia! Przeskoczyć pole, stanąć nad Wilią, objąć okiem cały kraj czarów nad nią zawieszony; przywitać wszystko słowem zachwytu — było dziełem jednej chwili. Z Wilią złączony, płynąłem z nią razem po piaskowej równinie, a choć jej nurt dążył ku Niemnowi, zdawało mi się że razem ze mną bieży do Wilna. Będąc też pod samem miastem, niczego jeszcze dojrzeć nie mogłem, wszystkie najwyższe wileńskie wieże pochłonięta dolina Swętoroga, zakuta bez litości górami. Nareszcie wystrzelił nad równinę krzyż jeden, a gdy ten wyrósł zupełnie, drugi swe ramiona zaczął pokazywać — i nagle Wilno przedemną stanęło!

Matkę wam odmalować panoramę Wilna, matkę was nudzić częstą deklamacją, gdy Wilią już znacie z natchnionej pieśni? O do takich pieśni, do takich



BRAMA PRZY KLASZTORZE OO. BERNARDYNÓW W KOWNIE.
(Rysował Ceglinski, ryt. w drzeworytni Tygodnika.)

dzie, gdy i w przyszłości ten sam stosunek utrwala-nym zostanie.

Przedemną stoi krzyż z męką Pańską, pod krzyżem widzę figurę z pelikanem, co rozdarta piersią karmi swe dzieci, a dalej przy drodze spotykam malutkiego Chrystusa, którego biała sukienka, podeinana jesiennym wiatrem, wiewa jak chorągiewka nadziei.

Patrzę na te wszystkie ofiary prostego serca, i rośnie we mnie uczucie piękna, i od razu ogarnia mnie miłość dla tych niekształtnie wyciosanych krzyżów i postaci Świętych Pańskich. Ileż to razy odwracałem oczy od szpetnych malowideł, ileż to razy ze zgrozą i bojaźnią uciekałem od wszystkich arcydzieł w pojęciu artysty-rzemieślnika; a teraz oto, do tych bałwanów ludowego rzeźbiarstwa, lgnę okiem, tulę się sercem całem! Malutki Chrystus, biały i niezgrabnie wystugany, leży w czerwonej kolebce; obok kolebki

obrazów trzeba więcej jak słowa, więcej jak myśli! Nam patrzeć tylko na Wilia, tylko do niej się tulić i pragnąć, by ta jedna chwila w całe nasze życie rozlać się mogła. A Wilia, wdzięczna za to kochanie, pędzi ku nam swe fale i na nich podaje nutę... nuta wiąże się w pieśń całą... pieśń przemawia słowem... słowo gości na ustach... i tyś poeta! Nie dziwcie się że ta ziemia wydaje tylu śpiewaków; tu dziecko w kolébce, gdy usłyszy szmer wód i dolin, już ma swą mowę, i przez nią śmieje się i płacze, a matka przeczuwa, że ono te śmiechy, te łzy kiedyś wyśpiewa językiem ludzi, słowy wieszczemi.

Wilno tak od nas niedalekie, a jednak niewielu jest podróżników, którzyby tam jedynie w odwiziny zjeżdżali. Budująca się obecnie kolej żelazna, pewno, najniezawodniej sprowadzać będzie tłumy turystów, a niejedno ich stado odlatujące na lato, tutaj znajdzie piękności odległych krajów.

Nie zazdroścę kolejowym wędrowcom: już dla nich panorama miasta nie będzie owiana samym błękitem nieba, już oni nie ujrzą od razu tysiąca wzgórz i wąwozów, nie pocałują okiem jasnej, odkrytej Wilii. Dla nich węgiel, para, iskry

i dym będą szatanami zatracenia wszystkich pięknych widoków, dla nich powstaną czarne chmury, które oddzielią poświęconą dolinę od niebieskiego sklepienia.

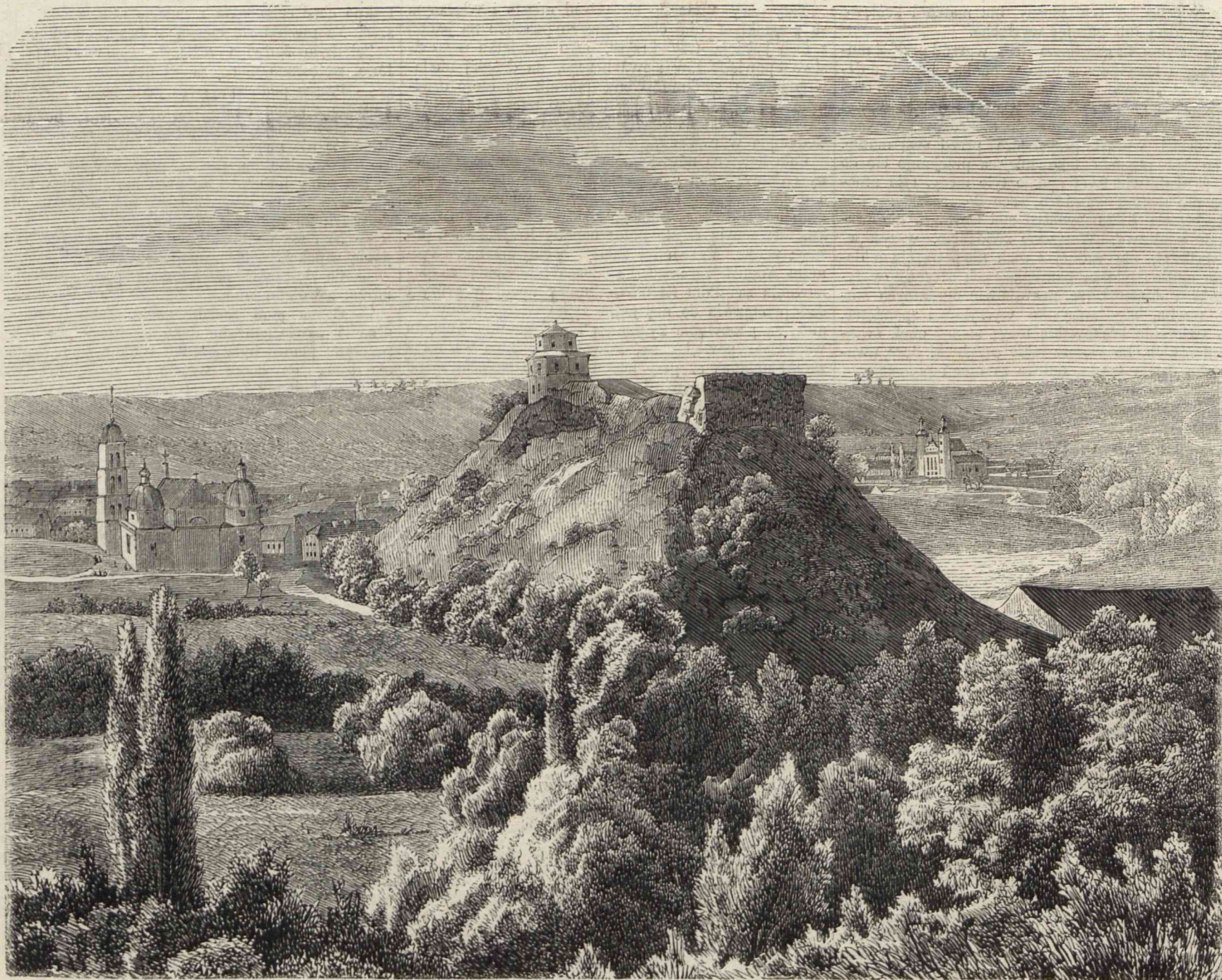
i fałszem, zalotna i przemysłna w ruchomościach i nieruchomościach, każe najprzód podziwiać spacerujących, wpatrywać się w gmachy, pałace, ogrody, sklepy. Wilno, także dość gwarne, dość ożywione, nie błyszczy jednak na ulicach takim galanterijnym szychem, ani tak wysoko nastrojoną fizyczną estetyką, do czego wszystkiego Warszawa, przeważszy się małym Paryżem, ma nieuleczoną słabość. W Wilnie od razu spotykasz się z ludem wszystkich stanów, wszystkich wyznań: Żyd i chrześcijanin gwarnie sąsiadują z sobą; kupiec i kramarz oddają sobie dzień dobry; wąskie ulice prędko giną z przed oczu; spacer za miastem, nad brzegami Wilii i Wilenki. Za to wszystkie stroje, mody, zbytki zamknęły się w powozach, które szeroko i dość licznie rozjeżdżają się po mieście. Z tego kilkosłownego rysu ulicznego, poznajcie treść brukową miasta, którego życie spokojne, towarzyskie, naukowe, zamknęło się w domowych progach.

Pragnąc wam dać przelotne chociaż wyobrażenie o Wilnie, radbym je porównać z naszą Warszawą—ale trudno. Warszawa ruchliwa, błyszcząca prawdą

być nie może: przed wzrokiem pamiątkowych gmachów, muszą się zamknąć usta profana, przed pokorą świątyni, musi skryć się wszelka jawna rozpusta.



OETARZ ZNICZA W WILNIE. (Rysował Olszyński, rytowano w drzeworytni Tygodnika).



GÓRA ZAMKOWA W WILNIE. (Rysował Cegliński, ryt. w drzeworytni Tygodnika.)

sta. W tej dolinie, gdzie dziś krzyż panuje, rządził niegdyś pogański książę Swentorog, założył stolicę Gedymin, płonął wieczny Znicz, rosły poświęcone gaje, wznosił się panteon bogów; tu pierwszy Jagiełło obalił bałwany i ogłosił wyznanie nowej wiary.

Świątynie tutejsze każdego zadziwiają swą wielkością i bogactwem form, a będąc między niemi, staje ci jednak na myśli prosty krzyż, mieszkaniec naszych wiejskich kościołków, i nim to witasz obraz Matki Boskiej ostrobramskiej, w którą patrzy cała Litwa, cała Żmujdz, wszystek lud boży.

Wieczór już był na wyłudnionych ulicach. Błądząc po mieście, chciałem przypatrzeć się drzemiącym postaciom poważnych murów. Zdaleka rozlewały się promienie gorejącej lampy. Minawszy kilka kościołów, wszedłem w wąską ulicę, na której, skłoniony przykładem, pokornie ukląknęłam. W końcu ulicy, nad bramą, stoi zbudowany ołtarz, a w ołtarzu jaśnieje obraz Matki Najświętszej. Od wschodu słońca do późnej wieczornej godziny, Matka Boża na wszystkich ma oczy zwrócone, wszyscy tulą się do jej opieki, bo wiedzą że wszystkich przegarnia do siebie. Przez dzień cały i noc cała lud kłęczy przed cudownym obrazem. I teraz ulica zasłana kolanami pielgrzymów, bruk zniknął pod tłumem pobożnych, wszystkie ściany podparte przez starców, którzy tu przybyli, aby cześć oddać Najświętszej Pannie. I wszyscy się modlą, wszyscy zebrzą łaski lub składają dziękczynienia. Bogaci korzą się razem z nędzą, najdumniejsze czoło uderzy przed obrazem Bogarodzicy. Na tym cudownym miejscu szata i ciało tracą swe prawa, a tylko dusze korne łączą się w jeden chór i śpiewają na cześć Matki Boga psalm miłości i żalu. Wielcy i mali, bogaci i ubodzy, uczeni i prostaczkowie, tu się gromadzą w imię pokory i wiary, tu niknie nawet wszelka różnica wiary; wszyscy, wszyscy schylają głowy, przysięgają kolana!

A gdy już noc głęboka, gdy tylko lampa niepozwolnie błyska za zasłoną, jeszcze i wtenczas spotkasz na ulicy kłęzącego pokutnika lub ubogą sierotę: głośno rozmawia, głośno swe żale wynurza przed Panią Najświętszą, a ten głośny ból matki i królowa nasza przed jej lub później wysłucha.

U nas słynie Częstochowa, lecz wprzód przejść musisz mury i korytarze, minąć wspaniałe bramy, a dopiero świat ziemski zniknie z przed oczu twoich, i czujesz święty spokój kaplicy. U Ostrzej Bramy zaś nikt się nie zbliża, nikt niczemu się nie zdziwi, wszyscy tu jak dzieci wprost przychodzą przed swą matkę. Rzewna też prostota tego miejsca przejmie cię do głębi, a modlitwie twój nadaje tyle mocy, tyle ufności, że nie możesz wątpić o łasce Bogarodzicy.

Dwadzieścia kilka świątyń stoi otworem dla pragnących modlitwy. Wszystkie zwiździłem, wszystkie bym wylizował, ale żadnej z nich nie potrafiłbym dokładnie opisać; tyle tu pamiątkowych szczegółów, tyle sztuki i historii, że prawdziwie ogromnych studyów trzeba, aby wszystko wyczytać i spamiętać. Tylko świątynie krakowskie mogą stanąć obok świątyń wileńskich, bo warszawskie przybytki Boże, uważane jako dzieła sztuki, daleko za niemi pozostają.

Katedrę wileńską, pierwotnie na wzór katedry krakowskiej wzniesioną, fundował w r. 1387 Jagiełło, przy lesie dębowym, w dolinie Swentoroga. W roku 1402 kościół metropolitalny zgorzał, a naprawiony, w r. 1530 uległ temuż samemu losowi. Ze składek począł go odbudowywać Włoch Bernard Zamboni, lecz w r. 1542 spłonął niedokończony. Ulegając ciągle podobnym katastrofom, dopiero w r. 1801 stanął w nowych i wspaniałych formach, podług planów prof. Guczewicza i Szulca.

Wnętrze katedry jest piękne i poważne. Mieści oprócz kaplicy św. Kazimierza, dziewięć pomniejszych, zdobnych szczególnie w drogocenne obrazy pędzla Dollabelli, Czechowicza i Smuglewicza. Wiele ciał do stojących, wiele nagrobków, uległo zupełnemu zatarciu, skutkiem ciągłych pożarów i wylewów Wilenki. Wspaniałym szeregi pogrzebionych mamy tu przed oczyma: Aleksander Wigund brat Jagiełły, książę Korygajło Olgierdowicz, Anna Światosławówna druga żona Witolda, w. ks. Witold, św. Kazimierz król wileński i w. ks. lit., Elżbieta pierwsza żona Zygmunta Augusta i druga Barbara Radziwiłłówna. Prócz tego mnóstwo pomników zdobi ściany katedry, a przed każdym z nich przechodzą uchyli swe czoło.

Jako pamiątka pogańskiego Znicza, w nienaruszonej całości do dziś dnia istnieje za wielkim ołtarzem w katedrze ognisko, na którego murach wzniesiono chrześcijańską świątynię. Gdy po schodach zejdziesz do wnętrza pogańskiego ołtarza, jakieś zimno i woń zagrobową cię otacza, dziwna a smętna zaduma przykuje cię do tego miejsca: z tych ścian wzniesionych

w kształcie czworokąta podłużnego, z tego sklepienia okopconego dymem świętego ognia, z tych kilku malowideł ledwie dojranych, z tej niemniej pamiątki więcej odczytasz, więcej odgadniesz, niż z drukowanej książki... Widzisz iskry świętego ognia, czujesz dym ofiarny, słyszysz kapłana kapłanów.

O kilkadziesiąt kroków od katedry wznosi się cztero-piętrowa wieża, która będąc dziś wspaniałą dzwonicą, niegdyś służyła wielkiemu kapłanowi do wygłaszania wyroków nieba, a pomniejszym sługom bogów do badania biegu słońca.

Patrzcie, ile tu pamiątek na jednym miejscu! Wszędzie gdzie tylko stąpisz, we wszystkich kościołach i gmachach, taż sama prawie obfitość kart historycznych, i wszędzie ciemność z pogaństwem, wszędzie zwyciężkie światło z chrześcijaństwem i kościołem!

Spojrzyj na górę Zamkową: tuż przy niej stoi góra Trzykrzyżka, łącząc się z górą Bekieszową, z grobem Gedymina. Na jednej z nich stoją trzy krzyże, tak białe i proste, że myślisz jakoby je dopiero wczoraj wzniesiono, i nie omylisz się bynajmniej: wczoraj one stanęły w miejscu spróchniałych. Lecz jakże dawne wspomnienie do nich przywiązane! Już kilka wieków mija, jak z tego miejsca poganie zrzucili siedmiu franciszkanów do Wilenki, wołając: „płyńcie na krzyżu, któryście nam czcić kazali”. Wieki minęły, pokolenia się zmieniają, a ofiara jest zawsze żywa, a męczeństwo zawsze jest czczonem...

Przy gościńcu mińskim jest kurhan zwany Jędrzejówką, usypiany przez młodzież, na uczczenie pamięci Jędrzeja Śniadeckiego. Na kurhanie był krzyż, krzyż z czasem upadł i nikt dotychczas nie wznosił nowego. Dziwna rzecz, której nie rozumiem, której sędzić nie mogę, widząc że szlachetnych nie brak nam jeszcze.

Chcąc jeszcze choć raz spojrzeć na całe Wilno, przedmieścia, okolice, góry, na Wilię i Wilenkę, gdy gęsty zmrok zapadł na ziemię, wszedłem na Bekieszową górę i przy blasku gwiazdzonego nieba, ujrzałem gród litewski w jednej skończonej a przepysnej panoramie.

Trzy góry wznoszą się wśród miasta i wiecznym są pomnikiem dla coraz nowych pokoleń: na jednej z nich jaśnieją trzy krzyże, jako pamiątka męczeństwa opowiadaczów słowa bożego, na drugiej niedawno jeszcze stał murowany pomnik na cześć dzielnego Bekieszy, towarzysza Batorego, trzecia zaś dzwiga ruiny wielko-książęcego zamku, zbudowanego przez Gedymina w r. 1322.

Całe książęce mieszkanie dzieliło się na zamek górny i dolny, jedna galeria łączyła obie części z sobą, a druga przeprowadzona była z zamku dolnego, u podnóża góry, do katedralnego kościoła. W górnym zamku, niszczonego często przez napady Krzyżaków i pożary, w. ks. Aleksander założył bogaty arsenał, a Zygmunt August zgromadził zamożną bibliotekę; za panowania zaś Jana Kazimierza zamek upadł w gruzy i dziś przemawia do nas jedną tylko wieżą. Dolny zamek, za panowania Zygmunta I i Zygmunta Augusta wspaniałe powiększony, również za Jana Kazimierza zaczął upadać, aż przy końcu zeszłego stulecia został zupełnie rozebrany. Zamek ten, ze świątynią Perkunasa, mieszkaniem kapłana kapłanów i innemi budowlami, obwiedziony był dokoła murem i stanowił gród warowny, zwany grodem Krewy.... Góra na której stoję, od podnóża do samego szczytu, opasana jest siatką ścieżek, których nie zruchowałbyś nigdy. Każdy przybysz choć raz w swym życiu na niej być musi, choć raz ztąd spojrzeć na milczący dramat, jaki się rozgrywa dokoła.

Kto nie widział tego kraju, kto nie poznał Niemna i Wilii, i nie pokochał ich artystycznym uczuciem, ten nie zna jeszcze gniazda poezji, ten nie kołysał kolebki błogosławionego słowa. Kto sądzi piewów i mędrców tej ziemi, a nie zna jej, ten mylić się może, mylić się musi; kto z jednego owocu bólu sądzić będzie o całej duszy, ten sądu swojego kiedyś się zaprze.

Ileżbym mógł jeszcze powieści wam przytoczyć, bo ja tylko słucham, a mury wciąż opowiadają, lecz trudno! Mnie tylko wolno spojrzeć raz jeszcze na całą ziemię i zapewnić ją że Litwa długo jeszcze będzie małą myślą i wspomnieniem.

N I G D Y.

(Dokończenie.)

— Więc chwala Bogu.

— Z całego serca chwala! A ty?

— Ja? Także w sobie buduję jak mogę najgrunto-

wniej, a w koło siebie patrzę. Czy dojrzę wszystkiego, czy podnoszę wszystko, Bóg to wie.

— Z czémże miałaś najwięcej biędy? z sobą, czy z drugimi?

— Ba! Pytanie nie na ciebie. Ty wiesz przecie że początek każdej biędy jest w nas samych. Od tego jak jest urządzone laboratorium chemiczne w duszy, zależy czy wszystkie z zewnątrz pierwiastki przerabiają się w niej na gorycz, słabość i zwątpienie, czy na siłę, zdrowie i wiarę. Czasem się i mnie popsuje jaka retorta, i co w nią wleją ludzie niedokwasem, wydzieję całkowitym kwasem i kwasem na duszy osiadzie. Mimo kwasu jednak, od rdzy strzegę się jak mogę, i zdaje mi się że i niebardzo zardzewiała. Co, jak myślisz?

— Dopiero wiem o owocach z ogrodu, które są wymienione, nawiasem mówiąc. Muszą być przecież i inne; jak zobaczę, to powiem.

— Fiu! fiu! To pani dobrodziejka teraz surowsza i rzeczywiście po owocach sądzić zaczyna. To ciebieby może teraz nie tak łatwo przekupić było chęcią, intencją, zdolnością, wszelkim darem *in crudo*, jak to dawniej bywało.

— Sama nie wiem, i teraz ci nie odpowiem. Na ciebie kolej składać egzamen. Coś mi przywiozła zrobionego?

— Przywiozłam ci, sędzio surowy i nieubłagany, przywiozłam ci spisane roczne dzieje naszej wioski. Z każdej chałupy wyciągnęłam com tylko mogła. Obserwacyj tam jest trochę moich, fakta są wszystkie najrzeczywistsze i najprawdziwsze. Przeczytasz sobie. Znajdziesz historią małżeństw skojarzonych, piosenek parę nowych, parę bajek, trochę zabobonów, plotek, sprawozdanie wierne z usiłowań moich i projekt na rok następny. Wszystko to kładę na koszyku z jabłkami; to i tamto przedewszystkiem tobie się należy.

— Ja mam też dla ciebie roczną kronikę miejscowego życia. Chcesz, to ją przeczytamy razem; zawsze to miłej ustnie objaśnić i dopełnić, a zobaczywszy jak co stoi, łatwiej będzie na później wspólny programat ułożyć. Zaczynj ty pierwsza; mnie po dawnemu zawsze tęskno choć echo jakie z pola, z lasu, z chały posłyszę. Na piosenki się cieszę, a bajek takam ciekawa!

Zaledwie Jadwiga rozłożyła spory rękopis, kiedy Józia, zmieszana nieco, drzwi uchyliła.

— Proszę pani, przyszedł jakiś pan, i chce się koniecznie z panią widzieć.

— Mówiłam ci żebyś powiedziała, że z nikim widzieć się nie mogę.

— Powiedziałam, proszę pani, ale ten pan mówi że ma pilny interes i że musi się zobaczyć z panią.

Jeszcze Anna odpowiedzieć nie zdążyła, gdy we drzwiach jej pokoju stanął Kazimierz.

— Nim się wytumaczę z natręctwa mego, radbym panią uspokoić, choć zaniepokoić muszę.

— Co się stało? przełkniona pomieszaniam Kazimierza, zawołała Anna.

— Ojciec pani zasłabł nagle. Zobaczyłem go na ulicy i zawiozłem do doktora. Niech się pani nie przeraża: pomoc była prędką i zdaje się że skuteczna; ale dziśby do domu wrócić nie mógł. Przyszedłem panią uwiadomić i towarzyszyć jej do doktora.

Jadwiga zarzuciła na nią płaszczyk i kapturek, słówkiem wytrzeźwiła i dodała odwagi.

Ojciec Anny rzeczywiście, wyszedłszy ze składkowego obiadu, zmierzał ku domowi; ale czy długie przy stole siedzenie, czy rozgrzanie, przy krwistym usposobieniu, spowodowało atak apoplektyczny: padł na ulicy. Już się koło niego tworzyć zaczęło zbiegowisko i miano go zawieźć do szpitala, kiedy go poznał przechodzący właśnie Kazimierz i do znajomego lekarza odwiózł.

Gdy Anna przerażona nadbiegła, już po krwi upuszczeniu przytomność odzyskał i lekarz najlepsze miał nadzieje. Jakoż rzeczywiście nazajutrz można go już było przewieźć do domu, a w kilka dni, gdy się zwyczajna zebrała partya, mógł już, jak zwykle, grać w preferansę.

Kazimierz codziennie przychodził dowiadywać się o zdrowiu pana radcy, który słów nie miał na podziękowanie mu i wymawiał Annie, że go niedość uprzejmie przyjmuje i zaprasza.

W parę miesięcy potem Anna list taki odebrała od Jadwigi:

„Czy można być razem trzeźwym i pijanym, razem złudnym i jasno widzącym prawdę? Nie, nie można. Mam wszelkie prawo myśleć żeś odurzona i upojona, a przynajmniej bliska odurzenia. Mam w tej chwili wszelkie potrzebne warunki, żeby być trzeźwą i niezłudzoną; więc chcę mojem trzeźwem ja, zastąpić twoje nietrzeźwe i tak z tobą mówić, jakbyś mówiła sama z sobą, gdybyś mogła przytomnie swoje odurzenie sądzić. Wszak mam do tego prawo?

Nie wyjeżdżałam spokojna z Warszawy, bom cię

nie widziała dostatecznie usposobioną na przejście które cię czekać może. Tyś jeszcze bardzo skłonna do łudzenia samej siebie, nie gniewaj się, do kłamania sobie. A ja, kiedy w tej chwili widzę prawdę, to ci ją powiem; zrób z niej jaki chcesz użytek. Otóż prawdą jest, że dawniej jeszcze pan Kaźmirz złudził cię swoją poetyczną tęsknotą za ideałem, swoim poszukiwaniem prawdy, z którą grał trochę w ślepą babkę, bo napotkawszy ją, i to nie raz zapewne, obejrzał ją jak wygląda, oddał pochwałę w kilku słowach pełnych zapału, i ukloniwszy się jej, szedł sobie dalej marzyć, tęsknić, szukać. On romansował z prawdą, ale bał się ją poślubić, bał się względem poślubionej zaciągać obowiązki, poświęcić jej życie. Romansował więc z daleka, a jako bohater romansu, mógł się podobać tkliwym duszom. Trochę się też podobał i tobie. Te trzy lata, przez które on marzył i próbował, tyś pracowała i cierpiała. Tyś poszła wyżej, on się zatrzymał, jeżeli nie cofnął. Z tym wszystkiem ty w swojej tęskniącej duszy będziesz musiała zaprzeczyć własnemu postępowi, darować coś już zdobyła, zamknąć oczy na to, czegoś już dojrzała, abdykować dobrowolnie z wyrobionej surowości i sprawiedliwości sądu, byle sercu dalszy ciąg wysnuć, byle wspomnienie odżywić, tęsknocie ciała stworzyć. Ty na pana Kaźmirza nie zechcesz tak patrzeć, tak go sądzić, jak możesz patrzeć i sądzić dziś; ty dobrowolnie sobie wskrzesisz uludę, z którą przez trzy lata pracy, walki, bólu, mogłaś być dostateczny wziąć rozbrat. Wiem że go rozgrzdziesz z pomyłki którą popełnił, żeniąc się z rozpieszczonym dzieckiem, co się zabiło nerwową miłością swoją; wiem że go rozgrzdziesz z tego fałszu, w jakim żył przez trzy lata, litując się bezpiecznie nad sobą tylko, kiedy obok niego usychała i wędlała wiotka roślina, której powiniem być wsparciem i siłą. Logiką serca osądzisz, że następstwem błędu i upadku, jest podniesienie się i poprawa. Tak jest rzeczywiście u dusz wysokich i silnych: u słabych, następstwem błędu i upadku, jest większy błąd i cięższy upadek. Pana Kaźmirza ja zawsze miałam za istotę beznadziejną i słabą. Mówiłam ci to; nie wierzyłaś, nie uwierzyłeś najpewniej i teraz, i znów cierpieć będziesz, moja biedna Anno! Powiedziałam ci, miałaś na sercu, więc kończę. Zostań z Bogiem, niech on cię strzeże, ale i ty strzeż się sama, bo jak się dasz unieść upojeniu, to i głosu Bózego nie dosłyszysz, i światła Bózego nie dojrzyś. Odpis mi, bo jestem niespokojna."

Anna odpisała:

"Jedna z nas się myli. Kto wie czy nie ty. Ty za surowo sądzisz Kaźmirza. Nie wiesz w jakiej sferze on był wychowany, nie wiesz jakie wokoło siebie miał wpływy, jakimi fałszami był otoczony. Że wśród nich uratował instynkt dobrego, to już samo świadczy o niepospolitych przymiotach jego duszy. Że duszy tej zbywa na siłę, wiem o tym dobrze; ale czy siła daje prawo urągania tym co jej mniej mają? Czy ona po to tylko dana, żeby się samemu bez wszystkiego obejść, czy też po to, żeby czasem swym dostatkami braki innych zastąpić? Czyż ona nam kobietom tylko na rezygnację dana? Czy zawsze na to tylko używać energii, żeby niechcieć? A gdyby też chcieć z energią? Trzy lata temu miałam chwilę wiary w to, że ja potrzebna Kaźmirzowi, że w moim sercu znalazłby to, czego w żadnym innym sercu kobiećm nie znajdzie; że ja podniosłabym, wypiałabym każde jego szlachetniejsze zachcenie, że moja miłość byłaby mu uzacnieniem i siłą. Miałam takie chwile, i gdyby w jednej z takich zażądał był żebym mu rękę na wspólną wędrówkę życia podała, byłabym to uczyniła bez chwili namysłu. Dziś, gdyby ta wiara rozbudziła się z taką samą siłą we mnie, gdyby on, poznawszy ją w sobie, z wiarą się do mnie odezwał, i dziś, nie taję ci, usłuchałbym tego głosu, i nie myślę żebym zbłądziła. On znał tylko dotąd same słabe lub przewrotne kobiety. Zkąd wiesz, czy miłość serca prawego nie zastąpiłaby, nie wynagrodziła wszystkich braków, nie oczyściłaby ze wszystkich naleciałości, nie skłarowała wszystkich mgłów?"

Sama nie wiem po co ci to wszystko piszę. Kaźmirza widuję bardzo rzadko, rozmawiamy o rzeczach zupełnie obojętnych. Moje życie płynie sobie zwyczajnym trybem. Zkąd ci się wzięły obawy, przewidywania jakiego? Darmo się dreczysz niemi. Powinam była zacząć od tego zapewnienia, a nawet na niem jedynie poprzestać. Twój list, a nie postępowanie Kaźmirza, wywołał ze mnie to wyznanie wiary. Pośylam ci je jednak, wraz z serdecznym uściśnieniem, w dowód, że nie mam najmniejszej urazy do ciebie."

Anna.

VIII.

A pan Kaźmirz?

Pan Kaźmirz, choć lubił samotność, nie mógł jednak

przenieść na siebie, żeby zimę samotnie przepędzić w swoim pustym pałacu. Zostawił rządzącego w dobrach, a sam z jesienią jeszcze przeniósł się do Warszawy. Do Anny pójść może nie śmiał, może nie chciał. Nie śmiał, przez bardzo naturalne i każdemu zrozumiałe uczucie delikatności; nie chciał, przez sobie właściwe lubowanie się „*dans le vague, l'indéfini*." Smakował w tej nieokreślonej, niewyraźnej tęsknocie, co go może ku niej wiodła, z nią utworzył sobie zajęcie serca i myśli. Kiedy traf (jeżeli to był traf) niespodzianie go z nią zbliżył, pan Kaźmirz niezmierznie był rad temu. W pierwszych chwilach wyłączne zajęcie Anny chorym ojcem pochłaniało ją zupełnie. Kaźmirz patrzył na nią z poszanowaniem, rad był ulżyć jej trudu i umniejszyć niespokojności. W miarę tego, jak w domu pana radcy wszystko wracało do normalnego stanu, jak Anna odzyskiwała swobodę i jak w obejściu, w rozmowie odbijało się jej naturalne obecne usposobienie, w miarę tego stopniowo chłód jakiś powiewał na usposobienie Kaźmirza. Wydała mu się surową, pospolitą, zimną, i wyraz „pedantka," którym ją zawsze mianowała Zofia, mimowoli mu na myśl wracał. Jęł spokój, z taką pracą zdobyty, brał za zimność serca; nabytki pracujących myśli, których ona ze zwykłą sobie swobodą udzielała, poczytywał za zimne, rozumowe kombinacje. Życie jej czynne wydawało mu się ciągiem sztucznych i w części niepotrzebnych zachodów; siła, wyrobiona walką, w jego oczach miała postać sztywności i nakazanej rezerwy. Taka Anna nie odpowiadała tej, którą widywał na samotnych, wiosennych, jeszcze za życia Helenki przechadzkach. To też odwiedziny jego stawały się coraz dalsze od owego wylania, zajęcia, z jakim niegdyś toczyły się w tym samym saloniku, przybierały cechę przymusu, ceremonialności, dla nich obojga męczących.

Zresztą Kaźmirz teraz swoim związkiem, tak niespodziewanym i niezwykłym, swoją tak niedawną stratą, może i pozycją odmienną w skutek odziedziczonego po żonie majątku, Kaźmirz tym wszystkiem zainteresował wyższą towarzyszką sferę.

Pootwierzyły mu się w niej stosunki, zapraszany był, rozrywany i niewiele nawet na odwiedzanie dawniej znajomości miał czasu.

I tak o mało co się dawne stosunki jego z domem pana radcy i jego córki nie zerwały zupełnie. Przypadkowo tylko trzymały się jeszcze, a nawet później na chwilę ściśnięły się znowu. Po nowym roku, gdy się Warszawa rozkarnawała, gdy się roztańczyło i rozbawiano, parę razy Kaźmirz, co nie tańczył dla żaloby, nie wiedział co robić z wieczorem. Parę razy nie przyjeżdżał do domów do których uczęszczał, bo damy zajęte były toaletą. Jeżeli więc do teatru było za późno, że zwyczajnie szedł do owego mieszkania z balkonikiem, gdzie zawsze zastawał salonik oświecony, panią domu uprzejmą, słuchać go gotową, i gdzie mu jednak milej schodził wieczór na rozmowie, niż u siebie na samotnym paleniu cygara. Powoli, powoli zaczął na nowo ulegać wpływowi, jakiego niezaprzeczona wyższość Anny na nim niegdyś wywierała. Zaczął na nowo gustować w tym co mówiła, przyznawać że rozmowa jej mnoży u niego władzę myślenia i władzę uczucia uzacnia. Powoli przywykł do tego, że kiedy w życiu lub w książce na coś godniejszego uwagi natrafił, zaraz w myśli rodziło się pytanie: „czy też Anna na to powiedziała?" I najczęściej szedł się jej pytać. Za jego pytaniem ona czuła myśl wzbranie, słów bogactwo, którym bogate serce dostarczało barwy, a budząca się na nowo wiara użyczała siły. I czasem zdawało się Kaźmirzowi, że widzi u Anny ten wzrok, który niegdyś ze mgły marzeń na niego spoglądał. I czasem zdawało się Annie, że jej Bóg poruczył jego szczęście i powołał ją na pomoc ku jego zbawieniu.

W takiej fazie ich stosunków przyszedł list od Jadvigi. Na Annie przykre on zrobił wrażenie, i w odpowiedzi swojej niedosć to nawet ukryć potrafiła, choć nie wyraziła i połowy myśli, nie objawiła części tej niechęci, jaką w niej wzbudził. „Ja nie mogę kłamać memu kobiecie sercu, myślała sobie; może mnie właśnie danem jest utwierdzić chęci jego, utrwalić dążności nieznacznie, samą siłą uczucia wesprzeć kroki na drodze ku prawdzie." Od niejako czasu Kaźmirza słowa coraz więcej w niej budziły tę wiarę; bo Kaźmirz znów jej mówił, że nikt nie potrafi tak poruszyć wyższych stron jego duszy, jak ona, a mówił rzeczywiście prawdę.

Raz, a było to już następnej wiosny, na balkoniku owym między akacjami, rozmawiali długo, serdecznie, poważnie. Kaźmirz zachwyił po trochu wszystkich wpływów, co w tej niedalekiej epoce na wszystkie słabe, bez pewnego steru dusze, tłumnie a gwałtownie uderzały. I zamieszany był w siebie, zaniepokojony chorobą bigoteryi. W zamieszaniu myśli, rozkołysaniu wyobraźni, nie rozumiał że duch chrześci-

ństwa każe „odnowić starego człowieka." On, wedle swego rozumienia, myślał że duchowi temu stanie się żadosć, gdy starego człowieka przyoblecze w nowe zewnątrz szaty, przyzwyczai do narzuconych foremek, skrepuje mnogością zobowiązań. Jemu się podobą możliwość porzucenia od razu ziemi, z jej brudem i trudem zarazem, a wzniesienia się prosto ku niebu, na anielskich skrzydłach.

Anna mówiła trochę o tym, co jest do zrobienia na ziemi, mówiła z pełności serca o wewnętrznym życiu, zasilonem wiarą żywą i ubogaconem czcią rozumną, szczerą, dobrowolną. Kaźmirz chciwie chwycił się jej słów, Ignął do nich wiarą, bo ta wiara zwalniała go od samodzielnej pracy myślenia, brał sobie na własność gotowe Anny na polu myśli zdobycze, wdzięcznym był za nie i jak zawsze w objawach wdzięczności się nie hamował. Mówił co czuł na tę chwilę, i gdyby nie Anna większa jak zazwyczaj powaga, byłby niezawodnie z całą naiwnością leniwego dziecka zawołał: „niech mnie pani żyć uczy, niech mnie pani wspiera i prowadzi. Oddaję się pani; na jej wolę i wiedzę się zdaję." Ale Anna ni wzrokiem, ni słowem nie ośmielała go do tego, Anna rzeczywiście zatonała w wysokim przedmiocie jaki poruszył; odszedł więc nie nie powiedziałwszy, ale odrzucony, pomieszany tak, iż przy pożegnaniu Anna się na tym poznała i mimowoli się jej częśćka tego pomieszanania udzieliła. Gdy się rozstali, on poszedł jeszcze nad Wisłę, ona długo po swoim pokoiku chodziła.

Parę dni potem nie przyszedł Kaźmirz. Tymczasem z Dreżna przyjechała ciocia ze Stefcią, która na słichną wyrosła panienkę, wykształciła się w śpiewie, do którego niepospolity miała talent, nabrała śmiałości, wśród której uwydatnił się świetny jej dowcip. Gdy Kaźmirz przyszedł w dni kilka na wieczór, nie było czasu wznowić przeszłej rozmowy. Było więc osób: Stefcia śpiewała i robiła *furorę*. Przez kilka następnych wieczorów miała co opowiadać o Dreżnie i o dalszej podróży, a opowiadała z takim życiem! wszyscy słuchali z takim zajęciem! Kaźmirz także podróżował, więc miał co dodać, objaśnić; szalenie lubił muzykę, więc stał przy fortepianie i prze-racał nuty. A brylantowe oczy Stefci taki blask siał, przy śpiewie takiego nabięrały wyrazu! Stefcia była otaczana, admiirowana; więc było tryumfem nie-lada zostać wyróżnionym od niej. Stefcia wszystkich swoich adoratorów traktowała z góry; więc było nie-lada zaszczytem zyskać przychylnie słowo lub spojrzenie. Pan Kaźmirz stanął w szeregach *de la haute noblesse* walcu, ubiegał się wraz z innymi o tryumfy i zaszczyty. Stefci podobał się więcej od innych, matka fortunnie nie myślała drzwi zamykać, a nawet może otworzyła je troszeczkę, więc..... pobrali się.

Pan Kaźmirz tym razem nie zawsze się umiał utrzymać na „swoim stanowisku." Stefcia ma swoje wolę i często ją próbuje stawiać obok woli męża, a on już nie próbuje jej zbijać, kierować nią nigdy nie próbował. Więc kiedy Stefcia chce, wyjeżdżają za granicę, na zimę przyjeżdżają do Warszawy, są zapraszani w *dystyngowane* towarzystwa, gdzie śpiew Stefci zawsze robi *furorę*. Pan Kaźmirz zyskał niezaprzeczane prawo obywatelstwa w *wyższej* sferze, czyta, towarzyszy żonie, słucha jej śpiewu, znosi jej kaprysy, dogadza fantazjom. W powieściach Balzaca wiele jest w ten sposób szczęśliwych małżeństw; możemy więc przypuszczać, że i pana Kaźmirza małżeństwo jest szczęśliwe.

A Anna?... Anna odtąd już pracuje bez *distrakcji*, wierzy że ból i trud dla przeszłości; chwilowe złudzenie wzbogaciło ją cierpieniem, doświadczeniem, wszechstronniejszą znajomością życia. Któż zaprzeczy, że to ważne, kosztowne nabytki? Z. I. A.

KOŚCIÓŁ FARNY W OLKUSZU.

Słynne w dziejach naszego górnictwa srebrne miasto Olkusz, w gubernii radomskiej leżące, które przedtem według podania miało kilkadziesiąt tysięcy ludności, a dziś jest schludnym wprawdzie i zawsze pięknym, ale ubogim, zaledwie półtora tysiąca ludności liczącym miasteczkiem, posiada jedyną pamiątkę świetnej swej przeszłości: kościół farny pod wezwaniem św. Andrzeja, który w północnej stronie miasta, tuż przy samym rynku, wspaniale się wznosi.

Świątynia ta, dzieło wieku 14, fundacji króla Władysława Łokietka, a nie Kaźmirza W., jak powszechnie utrzymują, odznacza się zarówno śmiałością, a przytem bardzo prostą budową, jak dokładnością wykonania. Wystawiona po większej części z różnobarwnego ciosu, szczyty tylko ścian poprzecznych ma z cegły. Dach na niej wyniosły, włoską dachówką pokryty, zabezpieczony był niegdyś zębami występa-

(Dodatek.)